„Powiedzieliśmy sobie, że ponieważ nie możemy wrócić do ojczystego kraju, gdziekolwiek jesteśmy, to i tak nie jest nasz kraj.”

Historia pani Anieli Zychowicz z domu Wawrzyńczyk

Aniela Zychowicz z domu Wawrzyńczyk urodziła się 13 listopada 1930 roku w osadzie Turna (obecnie Białoruś). W 1940 roku wraz z rodziną została wywieziona do Rosji. Następnie poprzez Uzbekistan dostała się do obozu polskiego w Indiach w Valivade, gdzie przebywała 5 lat. W 1948 roku przybyła do Anglii. Założyła rodzinę, wraz ze swoim mężem i dziećmi na kilka lat wyemigrowała do Kolumbii, prowadziła tam aktywną działalność na rzecz integracji Polonii. W Wielkiej Brytanii była mocno zaangażowana w harcerstwo, tworzenie szkoły polonijnej w Sheffield oraz działalność Stowarzyszenia Polskich Kombatantów w Londynie, którego wieloletnim prezesem był jej mąż. Obecnie Pani Aniela mieszka w Walii, w Penrhos.

Po 1920 roku była to bardzo zrusyfikowana część Polski, aby spolszczyć te tereny, pozwolono rolnikom kupić ziemię. Rodzice pochodzili z Poznańskiego i tam urodziły się też moje siostry. Ja byłam najmłodsza z rodzeństwa i urodziłam się w osadzie Turna (obecnie Białoruś) w okolicach Słonima.

Chodziłam do szkoły, która prowadzona była przez Polaków w Choroszewiczach, by do niej dotrzeć, codziennie wraz z koleżanką pokonywałam pieszo 2 kilometry. Kiedy o 13.00 kończyły się lekcje, wracałam do domu i po obiedzie moim zajęciem było pasienie gęsi, ale oczywiście nie zawsze, bo też odrabiałam lekcje i miałam czas na zabawę. Wioska, gdzie obok mieszkaliśmy, wcześniej była ukraińska, więc sporo osób mówiło po ukraińsku. Pierwszą Komunię miałam w kościele w Słonimie. Pamiętam, że kościół był piękny, dużo polskich dzieci przystąpiło w nim do sakramentu Eucharystii. Po przyjęciu I Komunii było dla nas przygotowane śniadanie, towarzyszyła mi mama. Ojca nie pamiętam, ponieważ zmarł, kiedy jeszcze byłam bardzo małym dzieckiem, a ponieważ w tym czasie były utrudnione możliwości robienia fotografii, nie wiem nawet, jak mój ojciec wyglądał. Miałam 4 siostry i 1 brata, ja byłam najmłodsza. Rodzeństwo pomagało mojej mamie w gospodarstwie, dwie najstarsze siostry wówczas, gdy chodziłam do szkoły, były już mężatkami. Jedna z nich, kiedy jechała do Rosji, miała 2-letnią córkę.

Pamięta Pani dzień wywózki do Rosji?

10 lutego 1940 roku o 6.00 rano przyszło do nas dwóch Rosjan i powiedziało, żeby się zbierać, bo wyjeżdżamy. Wsadzili nas na sanie i jechaliśmy do Baranowicz, a stamtąd odjeżdżały bezpośrednie pociągi do Rosji, wywieziono nas aż do Archangielska. Mieliśmy bardzo mało czasu, żeby się spakować. Rosyjski żołnierz rozmawiał ze mną, a mama w tym czasie pakowała rzeczy, niedużo, bo ile można było do walizki zabrać… Rzeczy te bardzo nam się przydały w Rosji. Rosjanki kupowały wszystko, co Polki przywoziły, bo dla nich było to coś nowego. Mama dostawała za to chleb, mąkę, ryż albo coś innego do zjedzenia. Warunki życiowe w Rosji były wówczas straszne. Zawieziono nas do dużych lasów koło Archangielska, osada nazywała się Szoksa. Były tam baraki zrobione z drewna, kiedy weszło się do wewnątrz takiego baraku, po jednej i drugiej stronie znajdowały się zrobione drewniane prycze i ludzie spali jak śledzie, jeden obok drugiego, nie miało znaczenia, czy ktoś jest z rodziny, czy nie. Na środku baraku był metalowy piec, w którym się paliło i trochę nas ogrzewało. Ja byłam małą dziewczynką, więc nie pracowałam, nie pracowała również moja mama. Natomiast siostry i dwóch szwagrów pracowali w lesie przy wyrębie drzew, a kobiety obcinały gałązki z tych ściętych drzew. W dole była rzeka, po której latem spuszczano do tartaków drzewa wycięte podczas zimy. Za tę pracę robotnicy otrzymywali bardzo niską wypłatę lub miskę zupy. Przez całe życie pomagałam ludziom, potrafię wybaczać… Jedyną osobą, której trudno mi wybaczyć, jest Stalin. To, że wywoził dzieci i straszne osoby, było straszne, to było coś potwornego.

Czy chodziła Pani na Syberii do szkoły ?

(Śmiech…) To nie była szkoła, tylko pokój, przychodziła Rosjanka i uczyła nas trochę po rosyjsku, przez 2 lata.

Po podpisaniu paktu Sikorski-Majski, zaczęła formować się Armia Polska. Moi szwagrowie wstąpili do wojska, a my z Syberii pojechałyśmy do Uzbekistanu. Przebywałyśmy w kołchozie, ja z mamą oraz dwie siostry, które pracowały przy uprawie bawełny na polach. Chciałyśmy dotrzeć do wojska, gdzie był szwagier. Byłyśmy zarejestrowane u niego, że on nami się opiekuje, była to V Dywizja Kresowa koło Dżałał-Abadu. Zdecydowałyśmy się uciec z kołchozu i udało nam się. Kiedy wojsko wyruszało dalej, razem ze sobą zabierało wszystkie rodziny na okręt. W ten sposób dotarłyśmy do Persji. Z Persji zawieziono nas do Karaczi w Indiach, a następnie do Kolhapur-Valivade. Byliśmy w obozie, w którym w sumie było 5,5 tysiąca Polaków, przeważnie dzieci z matkami. Tam miałyśmy

bardzo dobrze, otrzymywałyśmy pieniądze na utrzymanie. Byłyśmy w Valivade 5 lat i tam zdałam polską maturę.

Jak wyglądało życie w Valivade?

Mieszkaliśmy w barakach zrobionych z bambusa. Kiedy spaliśmy, nad łóżkiem wisiało coś na kształt namiotu, który zabezpieczał nas przed wężami. Było 5 dzielnic i 5 powszechnych szkół oraz 1 gimnazjum ogólnokształcące, w którym ja się uczyłam. W szkole zajęcia trwały codziennie do godziny 13.00. Po lekcjach zdejmowałam mundurek szkolny i często szłam na spotkanie z harcerkami, gdzieś na trawie za osiedlem.

Edukacja była bardzo dobrze zorganizowana, było gimnazjum ogólnokształcące była szkoła rolnicza, kucharska i inne. Po południu odbywały się kursy dla osób starszych, by nauczyć je robić na drutach, szyć oraz przystosować do wykonywania różnych innych zawodów. Moje starsze siostry uczestniczyły w tych kursach. Bardzo prężnie działało też harcerstwo. Tam w Valivade wstąpiłam do harcerstwa, złożyłam przyrzeczenie i do tej pory jestem harcerką, a od 50 lat jestem instruktorką w harcerstwie, mam stopień harcmistrzyni Prowadziłam kolonie zuchowe. Przez 8 lat w letniej porze przywoziłam dzieci polskie na kolonie zuchowe do Penrhos.

W Indiach dostawaliśmy jakąś kwotę pieniędzy na każdą osobę, z nami mieszkała też siostra. W każdym baraku były dwa pokoje oraz kuchnia i to tworzyło mieszkanie dla jednej rodziny. W każdym z baraków było 6 rodzin. Nie mieliśmy wody, po wodę mama musiała chodzić i przynosić, nie było toalety, trzeba było chodzić za następny barak. Mama kupiła dużą miskę w srebrnym kolorze i to była nasza wanna, w tym przez 5 lat się myłyśmy i kąpałyśmy się. Nie było też elektryczności, tylko lampy.

Aniela Wawrzyńczyk (Zychowicz) w drużynie harcerskiej
(druga w rzędzie stojących z prawej strony), 1946 r.

Zastęp harcerski: „Czyn”, którego Aniela Wawrzyńczyk (Zychowicz) była zastępową,
(pierwsza z lewej strony)

Pierwsza Drużyna Wędrowniczek w Valivade, Indie 1947 r. Aniela Wawrzyńczyk (druga z prawej strony licząc od osoby w czarnej sukience

Kurs drużynowych w Stella Plage, Francja 1954 r.

Po tym czasie przybyła Pani do Anglii. Proszę opowiedzieć jak potoczyły się losy w kraju, który Was przyjął po wojnie?

Płynęliśmy przez Morze Śródziemne – z Indii bezpośrednio do Anglii, przypłynęliśmy do Southampton w styczniu 1948 roku, a stamtąd dotarliśmy do

obozu w Checkendon koło Reading, gdzie mieszkałam z mamą w małym baraku. Z nami mieszkała pani Aniela, która opiekowała się dziewczynką, nie była to jej córka, ale siostrzenica Danusia, której matka i ojciec zmarli w Rosji. Mój przyszły mąż przyjechał w odwiedziny do cioci Anieli i poznał Anielcię, czyli mnie. Moje siostry przyjechały do Anglii z Indii dwoma pierwszymi okrętami. Ja z mamą dostałam się ostatnim transportem, bo nie jechałam do męża, tylko do szwagra. Kiedy przybyliśmy do Anglii, to szwagrowie już pracowali. Wówczas trudno było dostać pracę. Szwagrowie zaproponowali mi, byśmy przyjechały do Sheffield. Miałam prawie 19 lat, poszłam do pracy do fabryki. Obecnie noże mają często metalowe rączki, a wówczas miały plastikowe. Moja praca polegała na tym, by nadać kształt plastikowej rączce noża. Do dziś w Sheffield jest dużo fabryk.

Mój mąż pochodził z województwa tarnopolskiego, był na wojnie, wstąpił w Rosji do wojska generała Andersa, walczył pod Monte Cassino. Miał siostrę, która do dziś mieszka w Sopocie. Ślub mieliśmy w Sheffield w 1949 roku, nasze małżeństwo pobłogosławił ksiądz Michał Szymankiewicz. Byliśmy dla księdza Michała pierwszą polską parą pobłogosławioną w Sheffield. Na ślubie były moje siostry ze szwagrami i mama. Uroczystość była skromna i odbyła się w jednym pokoju, nie było hucznie, nie mieliśmy jeszcze domu. Moja mama wówczas już nie pracowała, mieszkała wraz z siostrą, która miała troje dzieci. Mama pomagała jej w wychowaniu. Przed śmiercią mama zamieszkała w moim domu, wówczas miałam już dwie córki, a po później urodził się syn, który jest najmłodszy. Z mężem przeżyłam wspólnie 62 lata. Na 50-lecie ślubu mieliśmy 80 osób na przyjęciu, o wiele więcej niż na weselu.

Anglicy początkowo nie byli nam przychylni. Kiedy szukało się mieszkania i w angielskich domach były ogłoszenia: „Pokój do wynajęcia", bardzo często było tak, że Angielki otwierały drzwi domu i widząc Polkę z dzieckiem na ręku pytającą o możliwość zamieszkania mówiły, że już nie mają pokoju do wynajęcia, nie chciały wynająć nam Polakom. Zajęło nam kilka lat, by dotarło do nich, że my jesteśmy normalnymi ludźmi, że chcemy pracować, a nie żebrać.

Kiedy bezpośrednio po wojnie trudno było Polakom dostać pracę biurową, przyjeżdżali do Sheffield, bo tu było dużo fabryk. Dzieci polskie dorastały do wieku szkolnego, wówczas ja z mężem oraz rodzice innej piątki dzieci, którzy byli w podobnym do nas wieku, postanowiliśmy, że musimy stworzyć Polską Szkołę Sobotnią w Sheffield. Byliśmy jej pierwszymi organizatorami. Założyłam również gromadę zuchów, stworzyłam zastęp harcerek. W ubiegłym roku harcerki obchodziły 50-lecie powstania drużyny harcerskiej. Przysłały mi, jako

organizatorce, piękne zaproszenie na obchody tej rocznicy do Sheffield. Niestety ze względu na wiek i stan zdrowia, nie mogłam uczestniczyć w uroczystości na żywo i bardzo żałuję, że nie mogłam tam być.

Gdy pobraliśmy się, mój mąż Czesław studiował wieczorami. W ciągu dnia pracował, bo mieliśmy już dzieci. Kiedy skończył studia, w krótkim czasie otrzymał stanowisko dyrektora w fabryce. Następnie firma wysłała go w delegację do Bogoty, stolicy Kolumbii. Początkowo mąż wyjechał sam. Wiedział, że będzie tam 4 lata. Umówiliśmy się, że jeśli będzie mu się tam podobało, to ja dojadę z dziećmi. Powiedzieliśmy sobie, że ponieważ nie możemy wrócić do ojczystego kraju, gdziekolwiek jesteśmy, to i tak nie jest nasz kraj. Mąż, gdy znalazł się w Kolumbii, miał problem z komunikacją, nie znał języka hiszpańskiego, a tam mało kto znał angielski. Mieszkał w wynajmowanym przez firmę mieszkaniu u Niemca, pracownika konsulatu niemieckiego w Kolumbii. Spakowałam rzeczy i wraz z dziećmi pojechałam do męża. Wyjazd organizowała firma. Były to lata sześćdziesiąte.

Z dziećmi….

Jak wyglądało życie Waszej rodziny w nowym, egzotycznym kraju?

Językiem urzędowym w Kolumbii jest hiszpański i w tym języku odbywa się zasadniczo nauka w szkołach. Moje dzieci uczęszczały do szkół w Anglii, toteż po przyjeździe do Bogoty, wybraliśmy dla nich gimnazjum Anglo-Kolumbiano, gdzie część lekcji odbywała się w języku angielskim, a część w języku hiszpańskim. Swoją szkołę mieli również Niemcy i Francuzi, dlatego że poziom nauczania w szkołach kolumbijskich był bardzo niski. Kiedy dzieci z bogatych rodzin kolumbijskich doszły do wieku gimnazjalnego, rodzice wysyłali ich na naukę do Anglii, do Ameryki albo jeszcze do innych krajów.

Wynajmowaliśmy mieszkanie i mieliśmy służącą. Kiedy wyjeżdżałam z Anglii do Kolumbii, dyrektor angielskiej firmy, w której mąż pracował, powiedział mi, że muszę mieć jedną albo dwie służące, nie wiem po co… (śmiech), ale taki był zwyczaj. One sprzątały i gotowały. Ja uczyłam w szkole angielskiej. Była to niewielka szkoła, jeśli chodzi o liczbę uczniów. Uczęszczały do niej dzieci konsula angielskiego i innych dyplomatów. Szkoła przeznaczona była dla uczniów w wieku od 6 do 12 lat.

Klimat Kolumbii był piękny, było bardzo ciepło. Kiedy padał deszcz, Kolumbijczycy mówili „jest zima". Bogota, stolica Kolumbii, leży bardzo wysoko w górach, ma piękne położenie i jest przestrzennym miastem. Krajobraz jest ubogacony dużą ilością jezior. Wraz z zaprzyjaźnionym małżeństwem organizowaliśmy w soboty lub niedziele wspólne wyjazdy z gór Bogoty na dół, do wybrzeży morza.

W Bogocie mieszkał człowiek, który był przed II wojną światową był konsulem Polski w Kolumbii. Kiedy wybuchła wojna, nie wrócił do Polski, gdyż z pochodzenia był Żydem, obawiał się Niemców. Został w Bogocie i założył firmę tekstylną. Kiedy my przyjechaliśmy do Kolumbii, to on wówczas był miliarderem.

Gdy w październiku wraz z dziećmi dojechałam do męża, na najbliższe Boże Narodzenie zaprosiliśmy do nas grupę ludzi. Przyszło 20 osób, między innymi były konsul, właściciel wspominanej firmy tekstylnej z żoną i synem, który niestety nie mówił już po polsku. Były konsul powiedział do mnie: „Proszę pani, jak pani udało się znaleźć tylu Polaków? To ja przed wojną byłem tu konsulem Polski i nie miałem tylu osób…" Powiedziałam, że wzięłam książkę telefoniczną, po nazwiskach szukałam Polaków. Z czasem stworzyła się bardzo zgrana grupa i spotykaliśmy się na spotkaniach towarzyskich. W niedziele razem organizowaliśmy wycieczki, wyjeżdżaliśmy w okolice położone nad morzem,

poznawaliśmy Kolumbię. Większość z tych Polaków była na kontraktach, tak jak i my.

Czy dzieci nauczyły się języka hiszpańskiego?

Oczywiście, jak już wspominałam, dzieci chodziły do angielsko-hiszpańskiej szkoły. W Kolumbii byliśmy 4 lata, więc dzieci perfekcyjnie opanowały język hiszpański. Kiedy wróciliśmy do Anglii, to moja najstarsza córka chciała studiować języki, a szczególnie hiszpański. W Wielkiej Brytanii przed rozpoczęciem uniwersytetu, uczeń musi złożyć podanie kiedy kończy *A-level* i zdeklarować się, na jakie chce pójść studia. Następnie odbywa się *interview*. Kiedy córka poszła na *interview* do profesorów, była w klasie poprzedzającej egzamin *A-level*. Zapytano ją, dlaczego chce studiować język hiszpański, skoro mieszka w Anglii, a rodzice są Polakami. Córka opowiedziała o szkole hiszpańskiej, do której uczęszczała w Kolumbii i została poproszona o odpowiedź w języku hiszpańskim. Jeden z profesorów powiedział jej, że jego studenci z uniwersytetu nie mają tak pięknego języka hiszpańskiego po skończeniu studiów, jak ona ma w tej chwili.

Po powrocie do Anglii dzieci na nowo wróciły do angielskich szkół oraz w sobotę do polskiej szkoły, mówią i piszą po polsku. Moje dzieci skończyły studia, jedna z córek była dyrektorem dużej firmy. Druga córka była nauczycielką, kilka lat była kierowniczką szkoły. Syn mieszka w okolicach Londynu i pracuje w firmie komputerowej. Wszystkie moje dzieci znają język polski. Jedna z córek przyjęła polskie obywatelstwo, a druga ma w planie je otrzymać. Mam czworo wnuków.

Z mężem w Bogocie, 1965 r.

Wypoczynek podczas pobytu w Kolumbii, 1965 r.

A jakie są Pani wspomnienia z podróży do Polski?

Byłam w Polsce wiele razy, jest pięknym krajem, kocham Polskę. Do nas przyjeżdżał też ojciec męża z Sopotu. On wojnę spędził w Rosji wraz z żoną i siostrą mojego męża. Byli tam aż 6 lat, do Polski przyjechali w 1946 roku, krótko po powrocie teściowa zmarła. Mówiliśmy wówczas: „My wracamy do Polski!". Na co on odpowiadał: „Siedźcie tam i róbcie polski paszport." Bardzo mądry teść, powiedział nam: „Zanim wyjedziecie do Polski na stałe, przyjedźcie wpierw na urlop i zobaczycie, jak się w komunistycznej Polsce żyje." I pojechaliśmy na urlop samochodem. Mieliśmy 8-osobowy samochód. Pojechały z nami dwa małżeństwa, z którymi umówiliśmy się na powrót do Anglii. Na rogu ulicy, gdzie mieszkał teść, był sklep rzeźniczy. Zaproponowałam, że pójdziemy do sklepu, kupię mięso i ugotuję obiad. Staliśmy z teściem w długiej kolejce w mięsnym sklepie i kiedy doszliśmy prawie do lady usłyszałam nieuprzejmy głos ekspedientki: „Nie mamy więcej mięsa, koniec już!" Wyszłam ze sklepu i od tego czasu przestałam myśleć o przeprowadzce do Polski. Kiedy teść po raz pierwszy przyjechał do Anglii i pokazałam mu tutaj sklepy, był bardzo zdzwiony, że są tak dobrze zaopatrzone.

Jak to się stało, że z Sheffield przeprowadziliście się do Londynu?

Pięć lat po zawarciu małżeństwa przyjęliśmy obywatelstwo angielskie. Po wojnie w wielu miastach angielskich powstawały polskie szkoły i parafie oraz Koła SPK (Stowarzyszenie Polskich Kombatantów). Główne biura tego Stowarzyszenia mieściły się w Londynie. Mąż był najmłodszym żołnierzem, który w Rosji przyłączył się do Armii Generała Andersa. Kiedy został Prezesem Stowarzyszenia Polskich Kombatantów, przeprowadziliśmy się z Sheffield do Londynu, mieszkałam tam przez 30 lat. Mąż wiele razy organizował wyjazdy na Monte Cassino, ja mu dużo pomagałam. Od pięciu lat mieszkam w Penrhos.

Kiedy składałam w Indiach przyrzeczenie harcerskie, miałam wówczas niecałe dwanaście lat. Bardzo mocno przeżyłam tę chwilę złożenia przyrzeczenia, że: „Mam szczerą wolę całym życiem pełnić służbę Bogu i Polsce, i nieść chętną pomoc bliźnim i być posłuszna prawu harcerskiemu!" Do tej pory pamiętam całą przysięgę i myślę, że tak mocno ją przeżyłam, że całe życie pracowałam dla ludzi. Oboje z mężem włączyliśmy się w działalność na rzecz Polaków w Anglii. Ja należałam do harcerstwa i jak już wspominałam, mam stopień harcmistrzyni. Kiedy miałam ponad 50 lat, zostałam skarbniczką w chorągwi harcerstwa na całą Anglię. Mając 72 lata przekazałam swoją funkcję młodszej instruktorce. Mąż miał raka płuc, podczas choroby opiekowałam się nim 2 lata. Zmarł 19 lat temu.

Będąc młodą osobą jeździłam z zuchami na kolonie letnie. Pracowałam z harcerkami i jeździłam z nimi na obozy. Pomagałam starszym osobom w ich potrzebach, uczyłam w Sheffield i w Manchester w polskich szkołach sobotnich. Pomagałam polskim księżom w parafiach polonijnych i ludziom w potrzebie.

W podziękowaniu za pracę społeczną w Sheffield dostałam złoty krzyż zasługi. Również w Londynie otrzymałam kolejny złoty krzyż za pracę społeczną. Odznaką kombatantów był medal z okazji 25 lat członkostwa, otrzymałam go oraz kilka innych odznaczeń. Takim samym złotym krzyżem odznaczani są ludzie, którzy pracują społecznie w Polsce. Mam polską telewizję i codziennie oglądam wiadomości z Polski.

Moje dzieci powiedziały nam kiedyś: „Dlaczego kupiliście dom, w którym nie mieszkacie?" Jest w tym trochę prawdy, ale gdy dzieci dorastały i były w domu, ja byłam z nimi. Pewnego razu ktoś zapytał, czy jesteśmy z mężem zgraną parą. Moja odpowiedź była: „Tak, bo my się spotykamy oboje w pociągu. Mąż jedzie do Manchester na zebranie Kombatantów, a ja jadę do Birmingham na harcerskie zebranie." Było trochę prawdy w mojej odpowiedzi, gdyż mąż jeździł na zebrania częściej niż ja.

W listopadzie 2020 roku obchodziłam 90. urodziny. Z tej okazji otrzymałam 27 kartek z życzeniami, włączając kartki od rodziny. Kartki przyszły z Ameryki, Polski i Anglii, w jednej z nich miałam tysiące buziaków, bardzo żałowałam, że tylko na papierze. Otrzymałam też 6 pęków kwiatów, pokój wyglądał jak kwiaciarnia. Pierwszy raz w życiu otrzymałam tyle kartek, to chyba była zapłata za moją wieloletnią pracę społeczną wśród ludzi.

Aniela Zychowicz wśród harcerzy (pierwsza z prawej strony w dolnym rzędzie), 1962 r.

Aniela Zychowicz w harcerskim gronie, 1962 r.

Zastęp harcerski kolęduje, by zarobić na kolonie w Sheffield i Bradford.

Harcerki w Penrhos… Aniela Zychowicz (pierwsza z prawej strony), 1972 r.

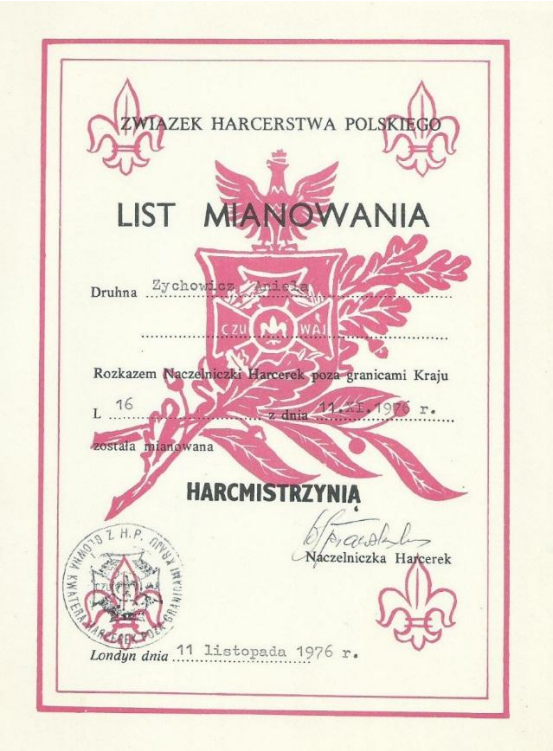

ZWIĄZEK HARCERSTWA POLSKIEGO

LIST MIANOWANIA

Druhna Zychowicz Aniela

CZUWAJ

Rozkazem Naczelniczki Harcerek poza granicami Kraju

L 16 z dnia 11.XI.1976 r.

została mianowana

HARCMISTRZYNIĄ

Naczelniczka Harcerek

Londyn dnia 11 listopada 1976 r.

Drużyna harcerska z Sheffield przed wyjazdem do Włoch. Aniela Zychowicz (czwarta z lewej strony w dolnym rzędzie), 1982 r.

Jak postrzega Pani młodszą emigrację polską w Wielkiej Brytanii?

Polacy, którzy przyjechali w 2004 roku, przyjechali się dorobić. My wszystko robiliśmy za darmo, kupowaliśmy całe domy w Londynie, choćby POSK (Polski Ośrodek Społeczno-Kulturalny), mąż miał tam swoje biuro i ja również tam pracowałam, przez 20 lat prowadziłam „Fundusz Społeczny Żołnierzy". Był zarząd, który zdecydował, że zebrane pieniądze wysyłaliśmy jako pomoc żołnierzom, którzy z armii generała Andersa po wojnie wrócili do Polski, w ten sposób im pomagaliśmy. Komuniści uważali ich za „angielskich szpiegów" i źle ich traktowali. My pomagaliśmy im. Generał Anders jeszcze we Włoszech zbierał pieniądze od żołnierzy. Po wojnie w Londynie w pięknej dzielnicy, zostały za nie zakupione dwa budynki, a kiedy je sprzedaliśmy, dostaliśmy 2 miliony funtów. By pomagać ludziom, chcieliśmy mieć pieniądze, a nie domy!

Dziękuję za rozmowę.

siostra Halina Pierożak
Misjonarka Chrystusa Króla
dla Polonii Zagranicznej
19.11.2020r.

Pani Aniela Zychowicz wyraziła zgodę na publikację ww. wywiadu.